

Miłość bliźniego

Kryzys migracyjny na polsko-białoruskiej granicy wywołał zjawisko, jak się zdaje, głębsze i trwalsze (oby) niż polityczne, lokalne i międzynarodowe poczynania. Mieszkańcy tego obszaru na początku obserwowali usiłowania aktywistów organizacji pozarządowych, lekarzy i po prostu ludzi dobrej woli pragnących pomóc koczującym w lesie przybyszom z dalekich krajów via Białoruś. Z mediów dowiadywali się, że Straż Graniczna, zgodnie ze swym przeznaczeniem, strzeże granicy, a poseł Sterczewski zachował się skandalicznie, biegnąc do migrantów z torbą zawierającą potrzebne im rzeczy. Pisowska telewizja pokazywała to zdarzenie do znudzenia, coraz dobitniej je potępiając.

Ogłoszenie stanu wyjątkowego udaremniło świadczenie pomocy humanitarnej przybyszom spoza jego strefy, a warunki w lesie stawały się coraz gorsze. Pomagać zaczęli mieszkańcy przygranicznych miejscowości. Od nich dowiadywali się o sytuacji dziennikarze, nie mogąc sami jej poznać.

Zastrzegając, że to doświadczenie pośrednie, chcę jednak podzielić się spostrzeżeniem, jak sadzę, istotnym. Otóż w relacjach mieszkańców np. Michałowa (ale nie tylko), skąd wywieziono poszukiwane później dzieci migrantów, obecne było tłumaczenie, dlaczego pomagają. Dlaczego przekraczają zalecenia pograniczników, aby trzymać się od przybyszów z daleka, nie ufają zapewnieniom, że to oni udzielają potrzebnej pomocy.

Ludzie żyjący (czasem od pokoleń) blisko granicy państwa znają i rozumieją wynikające z tego położenia rygory, doceniają zadania Straży Granicznej, w której służą ich krewni i przyjaciele. Zarazem od dzieciństwa wiedzą, że powinnością każdego człowieka, zwłaszcza chrześcijanina, a ci przeważają w tamtej okolicy, jest miłość bliźniego. Wiedzą, nawet jeśli nie mieli okazji praktykować tej cnoty i wtedy, gdy nie identyfikują się jako chrześcijanie.

Okazja objawiła się, jaskrawo i dramatycznie, w najbliższym sąsiedztwie. Mieszkańcy pogranicza polsko-białoruskiego, bez repetycji z Dekalogu, poszli do lasu pomagać, otworzyli drzwi swoich domów rodzinom z dziećmi, z którymi trzeba było porozumiewać się za pomocą gestów.

Indagowani przez dziennikarzy objaśniają to, co zdaje się oczywiste: Nie można patrzeć, jak ludzie umierają z zimna i głodu. Nie da się w takim momencie słuchać nakazów, a wszelkie przestrogi przed obcymi ulatują z głowy.

Sporadyczne początkowo gesty pomocy przekształciły się w coraz lepiej zorganizowaną akcję wielu osób (nazywają siebie partyzantką), a w pierwszych dniach grudnia ubiegłego roku przedstawiciele organizacji pozarządowych, przede wszystkim z Grupy Granica, oraz aktywiści z Podlasia i Lubelszczyzny sporządzili raport o szkodliwych działaniach polskiego rządu na granicy, przedstawiając sytuację od początku konfliktu. Podpisało go kilkadziesiąt osób, a Janina Ochojska rozesała w środowisku unijnym.

Zapewne odzywające się głosy – z Polski i Europy – o tym, że nie wolno nikogo pozbawiać pomocy humanitarnej ani bez takiej pomocy zostawić, utwierdziły

mieszkańców w postawie czynnej miłości bliźniego, bez oglądania się na to, kim bliźni jest, i oby to była lekcja powszechniejsza. Pierwsze reakcje, owo tłumaczenie się z dobrych uczynków, wywołują jednak niepokój. Tłumaczyć ten niepokój może, w pewnym stopniu, fakt, że bohaterowie moich rozważań przeżywali dysonans między posłuszeństwem obywatelskim i przykazaniem miłości bliźniego. Do pierwszego przywykli, mieszkając przy granicy, w drugim ich wychowano. Ilu z nas wie na pewno, jak ten dysonans by rozwiązali?

Najogólniejszy sens doświadczenia, o którym tu piszę, to wrażliwość, właściwie ocena naszego stosunku do innych. Innych zatrwającą często uważamy za obcych, a to określenie nacechowane jest co najmniej rezerwą. Zatrwającą też łatwo daliśmy się – my, polskie społeczeństwo w dużej części – przestraszyć obcymi, widząc jako jedyną obronę zamknięcie granic, kiedy rozważano relokację migrujących do Europy przybyszów. Wystarczyły „nieznane choroby wywoływane przez egzotyczne pierwotniaki” i dopiero głodujące w lesie dzieci sprawiły, że tamten obraz zbladł.

Ufam, że przy tym wszystkim będziemy, żyjąc w zjednoczonej Europie, spotykać wielu obcokrajowców, gości innych – z przewagą serdecznej ciekawości nad obawami. Dlatego myślę, że warto mówić o tej stronie kryzysu granicznego, jaką jest poruszenie serc i obudzenie miłości bliźniego u najbliższych sąsiadów. Ma to zjawisko, jak sadzę, także szersze oddziaływanie, z jednej strony ośmielające, z drugiej może zawstydzające.

Okazało się, że miłości bliźniego nie da się zakazać, kiedy staje się dramatycznie niezbędna. W okolicznościach mniej ewidentnych bywa zapoznawana, a jej brak skwapliwie usprawiedliwiamy. Pierwszy raz jednak byliśmy świadkami tłumaczenia się z miłości bliźniego, wcześniej, na pewno jeszcze w moim pokoleniu, tłumaczono się z braku miłości, z obojętności wobec potrzebujących czegokolwiek bliźnich. I niełatwo było znaleźć na ten niedostatek argumenty.

Mimo optymizmu, jakim napawa przypadek mieszkańców pogranicza, troska o nasz stosunek do innych pozostaje aktualnym zadaniem. Powtórzę: będąc obywatelami UE (w co ufam), będziemy przeżywać różnorodnie migracje i sami przemierzać terytoria innych państw. Musimy się wyzbyć przeszkadzającej w tym alternatywy: swój – obcy, co wcale nie oznacza braku dbałości o ojczystą integralność ani utraty kulturowej swoistości. Przeciwnie, w spotykaniu (nie konfrontacji) są okazje do pokazania, co swojskie, oryginalne, do pochwalenia się jakimś elementem rodzimości i w zamian, poznania odmiennego.

Powtarzam banały, ale nieraz – zaskakująco – okazuje się, że ulegamy natarczywym wzmówieniom przesłaniającym prawdziwy stan rzeczy.

Miłość bliźniego nie może kolidować z dobrem ojczyzny i w rzeczywistości to się raczej nie zdarza. Późór takiej sytuacji trzeba rewidować i odślaniać, a to, za czym pójdziemy, zależy od sumienia. Tyle, że sumienie, jak to zauważył św. Jan Paweł II, może ulec zepsuciu. Trzeba je stale konfrontować z najbardziej elementarnymi zasadami etycznymi. Wtedy miłość bliźniego nie budzi wrażliwości i nie jest trudna.